

K. A. GREEN.

# KTO MORDERCĄ?

19

„Sprowadziłem ją na dół do gościnnego pokoju i tam opowiedziałem jej wszystko, starając się stopniowo przygotować do tego, co stało się z masterem Lavenfortem.

Bardzo się tem przejęła i przestraszyła, ale i tym razem nie krzyknęła, patrzyła tylko na mnie z niemem zapytaniem w oczach. Powiedziałem jej, że nie wiem, kto jest zabójcą, lecz jeżeli dowiedzą się, że widziała mnie na schodach z kluczem od biblioteki w rękach, to podejrzenie o to zabójstwo może paść na mnie.

— Lecz ja przecież nikomu tego nie powiem — szepnęła, drżąc ze strachu i wzruszenia — daję panu słowo, że nikomu o tem ani słówkiem nie wspomnę.

Przestrzegłem ją jednak, że nie będzie w stanie milczeć, gdy ją będą badali na śledztwie i że najlepiej będzie, jeżeli opuści ten dom i do czasu, póki wszystko nie powróci do normalnego trybu, nie będzie się nikomu pokazywała na oczy. Pomimo mych przekonywań nie chciała z początku zgodzić się na tę natychmiastową ucieczkę. Dopiero, gdy mi przyrzekł, że ożeni się z nią, przystała na moją prośbę.

— Mogę ukryć się u pani Belden, w miejscu kąpielowym w R. — rzekła mi — przyjmie mnie ona z pewnością, zwłaszcza jeżeli jej powiem, że przysłała mnie miss Mary... Lecz dzisiaj w nocy nie będę mogła tam się dostać.

Zacząłem jej wobec tego dowodzić, że bez żadnych przeszkód może się jeszcze dzisiejszej nocy tam udać; ostatni pociąg odchodził o dwunastej w nocy, pozostawało więc jeszcze do odejścia całe pół godziny, a na przebycie drogi do dworca nie potrzeba było więcej, jak kwadrans czasu. Gdy mi odrzekła, że nie ma pieniędzy, wręczyłem jej pośpiesznie potrzebną sumę i wytłumaczyłem, jakimi ulicami może najprędzej dojść do dworca kolejowego. Ciągle się jeszcze wahała, wkońcu jednak udało mi się namówić ją i razem zeszlśmy po schodach.

Na dole znaleźliśmy kapelusz i chustkę kucharki; dałem jej jedno i drugie i w minutę potem byliśmy już na dworze.

— Pamiętaj, że choćby nie wiem jak starali się ciebie wybadać, nie powinnaś ani słowem wspominać o tem, co dzisiaj widziała — temi słowami ją pożegnałem.

— Pamiętaj i ty, żeś przyrzekł się ze mną ożenić — wyszeptęła, starając się mnie pocałować.

Przy tym ruchu zapewne upuściła na ziemię ogarek świecy, który trzymała w rękach. Obiecałem jej wszystko, poczem szybko wybiegła z dziedzińca.

Dziwne wzruszenie, jakiego przy tem wszystkim doznałem, tak mnie rozstroiło, iż popełniłem drugi, gruby błąd, bo nie tylko zamknąłem po wyjściu Dżen zewnętrzne drzwi, lecz zapomniałem także pozbyć się klucza od biblioteki, który nosiłem ciągle w kieszeni. Niebezpieczeństwo, którego szczęśliwie przed chwilą uniknąłem, było tak wielkie, iż teraz już utraciłem zupełnie możność swobodnego myślenia. Przed oczami memi miałem bezustannie bladą twarz przestraszonej Dżen, wobec której na drugi plan zeszła nawet myśl o tym, kogo dopiero co zabiłem.

Przejmowała mnie także obawa, iż może nie trafiła na dworzec i zabląka się, i gdy jutro rano wyjdę na ulicę, znajdzie ją na schodach przed domem. Nie mniej też niepokoiło mnie i to, iż klucz i papiery miałem ciągle jeszcze przy sobie. Jak się ich pozbyć? Z obawy, by mnie kto nie zobaczył, nie śmiałem nie tylko wyjść z pokoju, lecz nawet otworzyć okna.

Mimo to konieczność zaradzenia temu była tak wielka, iż zdecydowałem się przystąpić natychmiast do działania. List, napisany przez mastera Lavenforta do notaryusza, wzięłem do ust i zżułem go na papkę, którą potem wypłułem do kąta. Na drugim jednak liście była krew i nawet strach o własne bezpieczeństwo nie mógł mnie skłonić do tego, bym listu tego dotknął się ustami.

Leżąc na poły rozebrany na łóżku, ścisnąłem go nerwowo w rękę i czekałem, aż zacznie świtać. Z brzaskiem dnia w duszy mej zrodziła się nadzieja. Stałem się daleko spokojniejszym i odzyskałem panowanie nad sobą. Nie męczyło mnie już nawet pytanie o to, co zrobić ze znajdującymi się u mnie

rzeczowymi dowodami mej zbrodni. Postanowiłem nie niszczyć ich wcale, lecz w stosownej chwili rzucić je gdziekolwiek w domu, co — jak sobie wyobrażałem — mniejsze wzbudzi podejrzenie. List porwałem na kilka drobnych kawałków, poczem wszedłem do sąsiedniego, niezajętego pokoju i wrzuciłem do znajdującej się tam wazy porcelanowej. Następnie udałem się na górę do biblioteki, aby wsunąć nieznacznie klucz do zamku, przeszkodziła mi jednak w tem miss Eleonora, która szła za mną po schodach. Wobec tego powiesiłem klucz w korytarzu na gazowej lampie i z najobojętniejszą miną poszedłem spokojnie do jadalnego pokoju na śniadanie.

Znajdowała się już tam blada i zakłopotana Mary i rzecz dziwna — wzrok jej zatrzymał się tym razem na mnie, choć tylko przez chwilę. Omal nie uśmiechnąłem się na myśl, że dzięki mnie pozbyła się teraz na zawsze wszelkich kłopotów i że zasłużyłem sobie przez to na nagrodę, którą bez wątpienia otrzymam od niej we właściwej porze.

Nie będę opowiadał tutaj, w jaki sposób wykryto tę zbrodnię i jaką rolę ja przy tem odgrywałem. Zachowywałem się tak, jak gdybym w najmniejszej mierze nawet nie należał do tej sprawy. Byłem przekonany, że nawet i cień podejrzenia nie może paść na mnie: czyż mógłby kto przypuszczać, że skromny, pracowity sekretarz zakochał się w bratanicy swego pryncypała, którego zabił dla niej i w ten sposób pozbył się pewnego kawałka chleba? Spełniłem bez zarzutu wszystko, co winien byłem w takiej chwili uczynić, zawiadomiłem o wypadku policję i dałem zaraz znać o wszystkim panu Belyowi. Postępowałem jednym słowem tak, jak gdyby wszystko, co stało się tej nocy, było raczej snem, niż rzeczywistością.

Myśląc jednak tylko o własnym bezpieczeństwie, nie zwróciłem na nieszczęście uwagi na to, że podejrzenie o to zabójstwo może paść na Mary, jako na jedyną osobę, która odnosiła znaczne korzyści ze śmierci swego stryja. Gdy wreszcie przekonałem się o zupełnej możliwości takiego przypuszczenia, tak się tem zmieszałem, iż bez żadnej potrzeby wspominałem podczas śledztwa o tem, iż poprzedniego dnia wieczorem słyszałem koło swych drzwi na korytarzu szelest kobiecych sukien.

Podejrzenia padły na Eleonorę, ponieważ jednak wiedziałem, że nie mogła mieć najmniejszej styczności z tą sprawą, nabrałem przekonania, że podejrzenia te będą musiały wkrótce upaść. Lecz coby było z Mary, gdyby podejrzenia skierowały się przeciw niej?... Do czegooby to doprowadziło?

W nadziei, że jeszcze będę miał możność naprawić swe błędy, zacząłem składać fałszywe zeznania. Powiedziałem, że między stryjem a jedną z jego bratanic wynikły w ostatnich czasach nieporozumienia — wymieniłem jednak przy tem imię Eleonory. Utrzymywałem oprócz tego, iż master Lavenfort nie otrzymywał żadnych listów, które mogłyby choć w części wyjaśnić tę zagmatwaną sprawę.

Następstwa tego okazały się bardziej doniosłymi, niż przypuszczałem. Coraz to nowe przybywające poszlaki ugruntowały pierwotne podejrzenia. Wyszło na jaw, iż master Lavenfort został zabity nie tylko ze swego własnego rewolweru i przez osobę, zamieszkałą w tym domu, lecz ponadto zmuszony byłem wyznać, iż Eleonora prosiła mnie na krótki czas przedtem, bym pokazał jej, jak się nabija i strzela z rewolweru. Musiały się wnieść do tej sprawy chyba piekielne moce, jeżeli zaszedł podobny zbieg okoliczności.

Gdy zdałem sobie z tego wszystkiego sprawę, oświadczyłem, iż nieznajomy strach na myśl, co powiedzą na śledztwie obydwie panny. Co będzie, jeżeli Mary wyzna naraz, że po wyjściu jej od stryja, spotkałem ją na schodach, jak schodziła do biblioteki? Co będzie, jeżeli nie ukryje tego, że rozmawiała z nim i błagała go, by jej nie wydziedziczył? Co wtedy będzie? Strach, jaki wtedy przeżywałem, przyparł mnie prawie o szaleństwo.

W tym czasie jednak zaszły zdarzenia, o których nie miałem najmniejszego pojęcia, a które wpłynęły na zachowanie się obydwóch kuzynek.

Eleonora nie tylko podejrzewała swą stryjeczna siostrę o to zabójstwo, lecz powiedziała jej to nawet wprost w oczy. Mary tak się tem przestraszyła, iż postanowiła zaprzeczać wszystkiemu, coby mogło choć najmniejszy cień rzucić na nią. Liczyła zapewne przy tem na to, iż Eleonora wspaniałomyślnie nie będzie jej przeczyła. Jak wiadomo, nie omyliła się w swych rachubach. Eleonora nie tylko z własną szkodą nie sprzeciwiała się temu, co mówiła jej kuzyńska, lecz nawet odmawiała odpowiedzi w tych wypadkach, gdy zeznania jej byłyby niekorzystne dla Mary. Kłamać zaś nie była w stanie, nawet gdyby potrzeba było tego dla ocalenia najdroższej dla niej osoby. Takie szlachetne postępo-

wanie wywarło na mnie wielkie wrażenie. Patrzyłem na nią z zachwytem i byłem gotów uczynić wszystko, byle tylko uwolnić ją od podejrzeń, ale aby przytem nie zaszkodzić i sobie. W czasie śledztwa okazało się, że nam wszystkim grozić będzie prawdziwe niebezpieczeństwo, dopóki w domu znajdować się będzie ten nieszczęśliwy klucz i list.

Przedtem jeszcze, zanim przyniesiono tę zawałaną prochem chustkę, postanowiłem zniszczyć jedno i drugie, gdy jednak wniesiono już na salę ten dowód, taki mnie ogarnął strach, iż poszedłem natychmiast do pokoju na górę, wyjąłem z wazy podartej list, zdjąłem z lampy klucz i zaniósłem to wszystko do buduaru Mary, gdzie znajdował się kominek, aby wrzucić to wszystko do ognia. Zobaczyłem jednak ku swemu przerażeniu, iż w kominku tleje tylko kilka drewnien; stałem w niepewności, co czynić, gdy naraz usłyszałem jakieś kroki. Wobec myśli o następstwach, jakie mogłyby wyniknąć, gdyby mnie zastano w tym pokoju, rzuciłem czemprędzej list do kominka i pospieszyłem do drzwi, po drodze jednak upuściłem klucz, który upadł pod krzesło. Kroki zbliżały się i ledwie zdążyłem wybiec z pokoju na korytarz. Gdy znalazłem się już przy swych drzwiach, na schodach ukazała się Eleonora, podtrzymywana przez dwie służące. Skierowały się one wprost do buduaru Mary. Uspokoili mnie to; liczyłem, że znajdzie z pewnością klucz i będzie już umiała go schować.

Ponieważ nic potem nie słyszałem ani o kluczu, ani o liście, sądziłem ciągle, że udało jej się to zrobić. Tem się też tłómaczy, dlaczego nie obawiałem się bardzo o Eleonorę, bez względu na grożące jej niebezpieczeństwo. Zdawało mi się, że podejrzenia policji oparte są tylko na jej dziwnym zachowaniu się w czasie śledztwa i chyba na tem jeszcze, że w pokoju zabitego znaleziono jej chustkę. Nie przypuszczałem, że policja ma już w swych rękach rzeczowe dowody udziału jej w tej sprawie, a nawet gdybym i wiedział o tem, to wątpię, czy zacząłbym postępować inaczej. Myślałem tylko o jednej Mary, a jej według mego zdania, nie groziło żadne niebezpieczeństwo, ponieważ nikt przeciw niej nie wypowiadał najmniejszego podejrzenia. Gdyby master Grys lub master Rymond, na którego patrzyłem, jak na swego najgorszego wroga, choć jednym słowem dał mi do zrozumienia, że zbierają się nad nią chmury, miałbym się, ma się rozumieć, na ostrożności. Pod tym względem jednak okazali się chytrzejszymi ode mnie i ja spędzałem najspokojniej dzień po dniu, nie lękając się wcale o los mej ukochanej.

Osobiste moje sprawy przedstawiały się bardzo ujemnie. Myśl o Dżen nie opuszczała mnie ani na chwilę; wiedziałem, że poszukuje jej policja i dlatego też byłem w ciągłym strachu. Przy tem wszystkim spotkało mnie i to niepowodzenie, iż zamiast zawiadnąć sercem Mary, jeszcze bardziej odpychałem ją od siebie. Odnosiła się do mnie chłodniej, niż poprzednio, a nawet unikała mnie wyraźnie, nie skrywając wstrętu dla mej osoby. Oprócz tego — i to w całości muszę przypisać wpływowi mastera Rymonda — starała się zwalczać w sobie ciągle te niedostatki, na które ja właśnie jak najbardziej liczyłem.

Wreszcie nadszedł czas, gdy już nie mogłem opanować męczącego mnie strachu. Pewnego wieczoru, gdy schodził po schodach razem z masterem Rymondem, dojrzałem nagle w buduarze Mary jakiegoś mężczyznę, który patrzył na nią takim wzrokiem, iż cała krew zakipiała we mnie, zwłaszcza, gdy usłyszałem jak do niej mówił: „Lecz ty jesteś moją żoną i sama to dobrze wiesz! Teraz możesz już mówić i robić, co ci się podoba“.

„Był to dla mnie niespodziewany cios, który do reszty zniszczył me życie. Słysząc po tem wszystkim, co ja dla niej uczyniłem, jak ktoś inny nazywa ją swoją żoną — było to ponad me siły. Zrodziło to we mnie bezgraniczną nienawiść. Zapytałem mastera Rymonda, kto jest ten pan i gdy dowiedział się, że jest to — jak się już zresztą tego domyślałem — Klawering, straciłem panowanie nad sobą, zapomniałem o wszelkiej ostrożności i w porywie prawdziwego szaleństwa wskazałem na niego, jako na zabójcę mastera Lavenforta.

W tej samej chwili oddałbym pół świata, by cofnąć powiedziane słowa, gdyż rzucały one podejrzenia przedewszystkiem na mnie. W dodatku nie miałem żadnych dowodów, któremi mógłbym poprzeć słuszność swego oskarżenia. Odwoływać już go nie mogłem, po spędzonej zaś bezsennie nocy doszedłem do tego przekonania, iż najlepiej będzie, jeżeli wytłómaczę to swymi przesadami i bujną wyobraźnią. W ten tylko sposób zabezpieczyłem się od wszelkiego podejrzenia i zdawało mi się nawet, że dzięki temu właśnie, wzmocniły się w umyśle